



WHERE WE BELONG

AUTORKA WZRUSZAJĄCYCH HISTORII MIŁOSNYCH

EWELINA NAWARA



EWELINA NAWARA

WHERE WE BELONG

Where We Belong

Copyright © Ewelina Nawara

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie drugie, Bydgoszcz 2025r.

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Joanna Błakita

Korekta: Paulina Kalinowska

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Ewelina Nawara

**Copyright © for the cover art by Sandra Ewertowska; Alexandr Bognat
|Adobe Stock; Savvapant Photo |Adobe Stock**

Skład i typografia: www.proAutor.pl

[Kup książkę](#)

EWELINA NAWARA

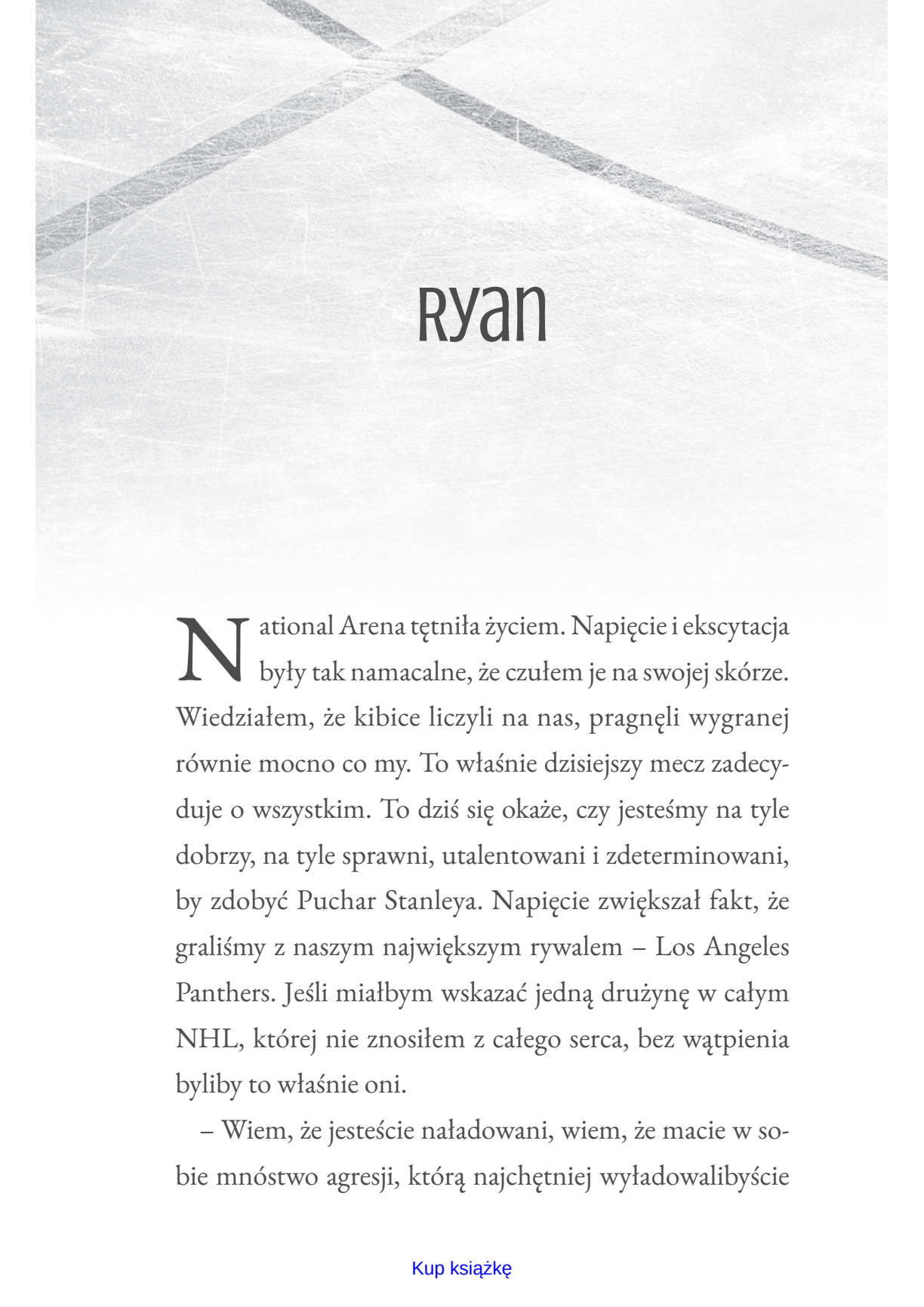
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak ul. Kormoranów 126/31 85-432 Bydgoszcz www.inanna.pl

*Dla każdej, która zdecydowała się przeczytać tę
książkę.*

Jesteś wspaniała!

Bez ciebie nie mogłabym pisać kolejnych historii.



Ryan

National Arena tętniła życiem. Napięcie i ekscytacja były tak namacalne, że czułem je na swojej skórze. Wiedziałem, że kibice liczyli na nas, pragnęli wygranej równie mocno co my. To właśnie dzisiejszy mecz zadecyduje o wszystkim. To dziś się okaże, czy jesteśmy na tyle dobrzy, na tyle sprawni, utalentowani i zdeterminowani, by zdobyć Puchar Stanleya. Napięcie zwiększał fakt, że graliśmy z naszym największym rywalem – Los Angeles Panthers. Jeśli miałbym wskazać jedną drużynę w całym NHL, której nie znośiłbym z całego serca, bez wątpienia byłiby to właśnie oni.

– Wiem, że jesteście naładowani, wiem, że macie w sobie mnóstwo agresji, którą najchętniej wyładowalibyście

na przeciwniku, ale gramy czysto – powiedział Derek St. James, nasz kapitan. – Nie zniżamy się do poziomu Panter, dajemy z siebie wszystko i wygrywamy ten mecz.

– Jakbyś mógł pójść do ich szatni i strzelić podobną przemowę, dodając, że chamskie faule są dla frajerów, to może bylibyśmy trochę spokojniejsi – prychnąłem.

Nie bez powodu nienawidziliśmy LA Panthers. Grali agresywnie, o wiele bardziej niż reszta drużyn w NHL, nie przejmowali się kontuzjami rywali, nic sobie nie robili z zasad fair play. Dla nich liczyło się jedno – zwycięstwo. Wszyscy w drużynie kochaliśmy hokej, podobało się nam, że jest to sport kontaktowy, taki, w którym każdy ułamek sekundy ma znaczenie. Walki na lodzie były nieodłącznym elementem rozgrywek, nie znałem zawodnika, który nie wylądowałby na ławce kar. Jak już mówiłem, hokej to naprawdę sport kontaktowy. Nie baliśmy się interakcji z przeciwnikiem, jednak tym, co różniło Boston Eagles od Los Angeles Panthers, był honor. Nigdy celowo nie wykluczyliśmy przeciwnika z gry na dłużej, nie odstawialiśmy głupich, agresywnych akcji, które mogłyby kosztować innego zawodnika kontuzję lub, co gorsza, zakończenie kariery. O Panterach tego powiedzieć nie mogłem, nasz poprzedni kapitan zapłacił okrutnie wysoką cenę za jedno

spotkanie z tą drużyną – stracił swoje marzenia, szansę na dalszy rozwój, wszystko, na co pracował. Ot tak. Teraz nie utrzymywał nawet kontaktu z nikim ze sportowego świata.

– Nie mamy wpływu na przeciwników, możemy tylko starać się wygrać ten mecz w naszym stylu – odpowiedział St. James. – Jesteśmy gotowi, by zdobyć ten puchar.

Przybiliśmy żółwiki i po chwili wyjechaliśmy na lód, by zająć swoje pozycje – Anderson na bramce, Cross i ja na obronie, a naszymi napastnikami byli St. James, Stevens i Sullivan. Kapitan miał rację, byliśmy gotowi, by wygrać ten mecz i zabrać ze sobą Puchar Stanleya, działaliśmy jak dobrze naoliwiona maszyna, niezliczone godziny treningów i mecze, które mieliśmy za sobą, sprawiły, że doskonale znaliśmy siebie, nasze zagrania i reakcje.

Lodowisko było idealnie gładką powierzchnią, w której odbijało się oświetlenie stadionu, nadając taflę bajkowego uroku. Uwielbiałem ten moment, tuż przed pierwszym gwizdkiem, kiedy okrzyki fanów ubranych w koszulki ukochanego zespołu były pełne ekscytacji i nadziei. To właśnie wtedy, nim krążek po raz pierwszy dotknął lodowiska, wszyscy kibice uśmiechali się szeroko. Za chwilę miało się to zmienić.

Gwizdek sędziego przebił się przez okrzyki, krążek upadł na lód i rozpoczął się najważniejszy mecz sezonu. Musiałem pozostać skupiony, a przy tym szybko reagować na zagrania przeciwników. Dziś miałem jasne zadanie – zatrzymać Jacksona Hayesa i uniemożliwić mu przedarcie się do naszej bramki. Serce biło mi w piersi tak mocno, że aż miałem wrażenie, że zaraz wyskoczy na lód – był to skutek podekscytowania, zdenerwowania i wściekłości, którą czułem w stosunku do Panter. Po kilku minutach udało się nam przypuścić skuteczny atak na pole przeciwnika, co tylko ich rozwścieczyło. Wraz z kolegami z drużyny zaczęliśmy brutalne, agresywne natarcie, a jednocześnie ustawiliśmy mur, który trudno było przebić, by chronić Andersona i własną bramkę. Nie spodobało się to drużynie z Los Angeles, która zaczęła odpowiadać fizycznymi atakami, Cross został przyciśnięty do bandy, co nie uszło uwadze sędziego. Wraz z upływem czasu napięcie rosło, kibice coraz głośniej krzyczeli na nas wszystkich, a Pantery rozpoczęły kolejny kontratak na naszą bramkę. Głośne przekleństwa przeciwników świadczyły jedynie o tym, że Anderson był właściwą osobą we właściwym miejscu. Czas przestał mieć dla mnie znaczenie, liczyli się wyłącznie krążek oraz Hayes, który coraz

bardziej lekkomyślnie wjeżdżał nie tylko we mnie, ale i w moich kumpli. Zaczynał mnie drażnić, jednak obiecał-
iśmy trenerowi, jeszcze przed pogadanką St. Jamesa, że
nie damy się sprowokować. Cholernie trudno było teraz
dotrzymać tej obietnicy.

Zegar tykał, tłum coraz głośniej krzyczał, a to musiało
oznaczać, że zbliżał się koniec ostatniej tercji. Na razie
remisowaliśmy z naszym największym rywalem, jednak
nie mogliśmy się teraz zatrzymać, to był właśnie ten mo-
ment, by zagrać o wszystko. Zupełnie niespodziewanie
Pantery wykonały zwód i ruszyły z silnym natarciem na
naszą bramkę. Instynktownie rzuciłem się w kierunku
Hayesa, by go zatrzymać, nim zdołałby zmienić wynik
meczu na korzyść Panter. Już prawie go miałem, jechałem
z nim łeb w łeb, musiałem wykonać zaledwie jeden ruch,
by odebrać mu krążek. I właśnie wtedy poczułem okrop-
ne uklucie, które wykrzyczałem na całe gardło, po czym
padłem na zimną taflę lodowiska. Porzuciłem kij i zła-
pałem się za kolano, z którego promieniował tak wielki
ból, że zacisnąłem szczęki, byleby znowu nie wrzasnąć.
Albo mi się wydawało, albo kibice umilkli w oczekiwaniu
na to, aż się podniosę. Sędzia przerwał mecz, a mnie od
razu otoczyli przyjaciele. Słyszałem, jak poganiiali zespół

medyczny, który niemal natychmiast zjawił się u mojego boku.

– Foster, co się stało? Mów, co cię boli – powiedział Ben, nasz lekarz, który towarzyszył nam na każdym meczu.

– Kolano – wysyczałem przez zaciśnięte zęby. Nie chciałem pokazać, jak bardzo jest źle. – Daj mi coś i wracam do gry.

On jednak poruszył moją nogą, a wtedy wyrwał mi się krótki, cichy krzyk. Bolało jak cholera.

– Dla ciebie to już koniec meczu, Foster. Przykro mi, ale musimy cię znieść, nie będziemy ryzykować – odparł, a w jego głosie słyszałem smutek. Zależało mu na naszej wygranej.

Nie mogłem się z tym pogodzić, tak ciężko pracowałem, by pomóc drużynie zdobyć puchar, by pokonać znienawidzonego rywala i udowodnić wszystkim, że można grać fair. Unikałem patrzenia na kolegów, zamiast tego zerknąłem na Hayesa, spodziewałem się aroganckiego uśmieszku czy nawet radości z powodu mojej kontuzji, jednak on wpatrywał się we mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Dałeś z siebie wszystko, Ryan, teraz my zrobimy, co możemy, żeby ich roznieść – zapewnił St. James, gdy do mnie podjechał.

Moje miejsce na lodzie zajął Lucas Grey, a ja trzymałem kciuki, by dał radę Hayesowi i reszcie Panter. Grey był młody, ale kochał hokej i miał właściwą determinację, by odnieść w tym sporcie sukces.

Nie zgodziłem się na przeniesienie do szatni, nie mogłem być z przyjaciółmi na lodzie, chciałem więc chociaż dopingować ich z ławki. Oglądanie końcówki meczu z gabinetu lekarskiego nie było opcją – nawet w chwili takiej jak ta, kiedy ból niemal odbierał mi możliwość trzeźwego myślenia. Ben od razu uniósł mi nogę i położył na niej łód, wyklinał przy tym w głos na moją głupotę, bo odmówiłem badania. Wiedziałem, że to nierozsądne z mojej strony, ale przynajmniej tyle mogłem zrobić w tym najważniejszym meczu sezonu.

Ryan

Przegraliśmy. Nie bez walki, ale obecnie dla magazynów i portali sportowych nie miało to wielkiego znaczenia. Nie zostawili na mnie suchej nitki, liczba artykułów o mojej grze w tym meczu przewyższyła wysyp publikacji, które pojawiły się po tych rozgrywkach, gdy moja drużyna odniosła zwycięstwo, a ja zagrałem rewelacyjne spotkanie bez żadnej kontuzji. Minęły dwa tygodnie, jednak odnosiłem wrażenie, że zamiast cichnąć, robiło się o tym meczu coraz głośniejsze. Prasa się dowiedziała, gdzie mieszkam, choć dotychczas udawało mi się utrzymywać to w sekrecie. Nie mogłem więc wyjść z domu, by nie trafić na choć jedną osobę, która nie miałaby czegoś do powiedzenia na temat mojego występu...

Zaczynałem się dusić. Bolał mnie fakt, że nie zwracano w ogóle uwagi na fakt, że zostałem kontuzjowany, że na drugi dzień po meczu przeszedłem zabieg, który ma mi pomóc szybciej dojść do siebie po zerwaniu więzadła przedniego.

A teraz byłem na dywaniku u szefostwa drużyny Orlów i po raz pierwszy, od kiedy zacząłem grać w tym zespole, czułem strach.

– Nie masz się czym martwić – zapewniał mnie St. James, który od razu się tu zjawił, gdy usłyszał o dzisiejszym spotkaniu. Był dobrym kapitanem i nie chciał, bym siedział tutaj sam. Choć technicznie rzecz biorąc, nie przyszedłem sam, bo towarzyszył mi mój agent, Marcus Geir.

– Łatwo ci mówić, to nie z ciebie zrobili kozła ofiarnego – odpowiedziałem. – Jeśli mnie wykopią z drużyny... – urwałem, bo nawet nie chciałem sobie tego wyobrażać.

– Daj spokój, jeden przegrany mecz, w którym miałeś naprawdę dobry występ, to nie powód do zwolnienia – argumentował.

– W takim razie po co to nagłe wezwanie? – zapytałem.
– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Marcus przysłuchiwał się naszej rozmowie, ale nie wtrącił nic od siebie. Był małomównym facetem, za to doskonale znał się na swojej pracy. Jednak nawet on nie zdołał się swoimi kanałami dowiedzieć, w jakim celu zostało zwołane to spotkanie.

– Czekają na was – odezwała się Cindy, sekretarka Lucasa Morrisona, managera naszej drużyny.

Derek uściśnął mi ramię, nim wstałem z fotela i ruszyłem do sali konferencyjnej wraz z Marcusem. W środku siedzieli już Lucas, a także Natalie West, assistant manager zespołu, oraz sztab szkoleniowy: Victor Frost, nasz trener, jego zastępca Wyatt i Alexander Kane, trener obrońców. Zerknąłem na swojego agenta i w jego spojrzeniu ujrzałem błysk niepokoju, najważniejsi ludzie, ci, od których decyzji zależała moja przyszłość w drużynie Boston Eagles, znajdowali się w tym pokoju.

Usiedliśmy na wskazanych krzesłach, a ja czekałem, aż ktoś się odezwie i wytłumaczy powód spotkania.

– Wszyscy tutaj jesteście świadomi sytuacji w mediach, która rozpętała się po naszym przegranym meczu – zaczął Lucas.

– To gównoburza, która powinna się wyciszyć dzień, dwa po meczu, i dobrze o tym wiemy – wtrącił Alexander,

choć powiedział to tak cicho, że nie miałem pewności, czy chciał, byśmy to usłyszeli.

– Jak mówiłem – kontynuował Lucas. – Mamy świadomość negatywnej uwagi mediów, od czasu meczu jesteśmy pod ciągłym ostrzałem komentatorów, bloggerów i fanów. Musimy pomyśleć o rozwiązaniu, które sprawi, że to ucichnie, a nasz zespół przestanie być obiektem ataków.

Nie odezwałem się, choć z gniewu aż się we mnie gotowało. Marcus prosił jednak, bym zostawił prowadzenie tej rozmowy jemu, a ufałem mu na tyle, by wiedzieć, że to najlepsza opcja. Ja mogłbym w złości rzucić coś, co później byłoby trudno odkręcić.

– Z całym szacunkiem, ale to nie zespół jest obiektem szykan, a Ryan. Facet, który wziął na siebie ataki Hayesa, który skutecznie blokował Pantery przed dostaniem się do naszej bramki. Ten sam facet, który miał świetny sezon, nie tylko bronił dostępu do Andersona, ale także zdobywał punkty dla Orłów. I liczę, że to spotkanie zwołaliście po to, by przygotować oświadczenie dla prasy i wszystkich idiotów, którzy szkalują Ryana na każdym kroku i przez ostatnie dwa tygodnie nie dają mu chwili oddechu – powiedział Marcus, wpatrzony w managera zespołu.

To, co publikowali na mój temat od czasu spotkania z Los Angeles Panthers, było koszmarem. Zaczęło się od zwykłego rozgrzebywania błędów, których się dopuściliśmy jako drużyna, później skupili się na mnie... Od kilku dni nieustannie widziałem nagłówki, w których internetowi specjaliści od hokeja jednogłośnie orzekali, że zagrałem lekkomyślnie, próbując zablokować Hayesa, i przez to naraziłem drużynę na przegraną. Ludzie myśleli, że w internecie mogą być anonimowi, więc bez hamulców wylewali swoją frustrację właśnie na mnie. Niektórzy wykazywali się sporą kreatywnością w zakresie wymyślania kolejnych wyzwisk rzucanych pod moim adresem. Te wszystkie wpisy, w których czytałem, jak byłem głupi i mało profesjonalny, oraz te, które oskarżały mnie o celową kontuzję, by przegrać mecz, cholernie bolały. Hokej był całym moim życiem, moją pasją i marzeniem i nigdy nie zrobiłbym nic, co mogłoby narazić moją drużynę.

– Marcus, nie musisz się unosić, nie mieliśmy nic złego na myśli – wtrącił Wyatt. – Ryan jest członkiem zespołu, to, co uderza w niego, uderza w nas wszystkich, i o to nam chodzi. Chcemy znaleźć wyjście z tej sytuacji. Bo w tej chwili odnosimy wrażenie, że nawet zwykły spacer do

sklepu nakręca internetowych znawców i powoduje coraz większe bagno.

Wyatt miał rację, sam mój widok zdawał się napędzać ludzi do internetowej agresji.

– W takim razie co proponujecie? – zapytałem. – Nie zamknę się w domu na kilka tygodni, mam rehabilitację, psychicznie też nie wytrzymam izolacji w czterech ścianach.

O ile kochałem hokej i na lodowisku mogłem spędzać całe godziny, to i tak potrzebowałem świeżego powietrza, codziennie biegałem, nie przeszkadzała mi w tym żadna pogoda, po prostu musiałem czuć tę chwilę względną wolności.

– Może na jakiś czas wyjedziesz? – rzucił Marcus. – Odwiedzisz rodziców, odpoczniesz, odetniesz się od miasta i kibiców. Może pokusisz się o wyłączenie telefonu?

Spojrzałem na niego zaskoczony, bo rzadko miałem okazję do wizyty w domu rodzinnym. Wolałem, gdy bliscy odwiedzali mnie w mieście, wtedy mogliśmy pobyć razem, a ja nie musiałem przerywać treningów i burzyć swoich nawyków.

– To dobry pomysł. Zadbamy, by fizjoterapeuta był dostępny dla ciebie na miejscu, a jeśli zajdzie taka potrze-

ba, wysłemy z tobą Harper. – Lucas zgodził się od razu, widocznie zadowolony z tak szybko znalezionej rozwiązania.

– Ale tylko na czas rehabilitacji, kiedy Ben pozwoli mi wrócić do treningów, natychmiast zjawiam się w Bostonie – zaznaczyłem.

Marcus postawił jeszcze kilka warunków, na przykład zatrudnienie ochrony, która miała się przy mnie pojawić na pierwszy sygnał jakichkolwiek problemów.

Gdy wyszliśmy z sali konferencyjnej, odetchnąłem głęboko, jakbym zrzucił z ramion niewidoczny ciężar.

– I jak poszło? – zapytał St. James, podchodzący do mnie.

– Wysyłają mnie na obowiązkowe wakacje do rodzinnego miasteczka – odpowiedziałem. – Nie podoba im się negatywny PR.

– To dobre wieści, stary.

Przytaknąłem i pożegnałem się z Derekiem, odmówiłem wyjścia z nim na piwo. Skoro miałem wrócić do domu, mogłem to zrobić jak najszybciej. Wiedziałem, że rodzice będą zachwyceni, a Rylee, moja siostra, też nie będzie narzekać na moje odwiedziny.

Niemal dwadzieścia cztery godziny po spotkaniu z zarządem drużyny wjeżdżałem do rodzinnego miasteczka. Silverbrooke Harbor prezentowało się jak widoczek z najpiękniejszej pocztówki – z jednej strony otaczały go liczne wzgórza i dolinki, z drugiej dostępu chronił bujny las, a centrum przecinała rzeka Silver, spływająca do oceanu przy malowniczym porcie. Dom, gdzie mieszkali moi rodzice, był tym samym, w którym się wychowałem. Choć wiele razy proponowałem, że kupię im coś większego, bardziej nowoczesnego, za każdym razem odmawiali. I teraz, kiedy stałem na ganku, byłem im za to wdzięczny, bo w takiej chwili, gdy cały świat zwrócił się przeciwko mnie, to właśnie tu czułem się bezpieczny i spokojny.

– Witaj w domu, synku! – zawoła mama, nim zdołałem zapukać do drzwi.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko i przytuliłem ją po raz pierwszy od kilku tygodni.

Emma

Nie mam pojęcia, co mnie podkusiło do prowadzenia zajęć na wakacyjnym obozie... Mogłam odpocząć po wyczerpującym roku szkolnym, ale nie potrafiłam odmówić Rylee, mojej najlepszej przyjaciółce. Dlatego właśnie teraz zaparkowałam samochód przed jej domem i wysłałam jej SMS-a, że już na nią czekam. Obóz, jak co roku, prowadzony był tuż na obrzeżach miasteczka, gdzie w jednej z licznych dolinek zbudowano drewniane domki oraz przygotowano teren pod namioty. Dodatkowo dwa lata temu zostało tam utworzone niewielkie sztuczne jezioro, więc dzieci miały coraz lepsze warunki do letniego wypoczynku, a rodzice

nie musieli się martwić o opiekę. Wszystko to opłacone przez anonimowych darczyńców.

– Rylee, rusz tyłek! – wykrzyknęłam przez otwarte okno, bo przyjaciółka wciąż nie wychodziła z domu. – Dzieci na nas czekają!

Już miałam wysiąść z samochodu, gdy Rylee wybiegła na ganek, boso i ze szczoteczką do zębów w ustach.

– Przepraszam, przepraszam – wymamrotała po umoszczeniu się w fotelu pasażera. – Zaspałam.

– Domyśliłam się, kiedy zobaczyłam, że biegiesz bez butów – zaśmiałam się. – Ostra impreza? – zażartowałam.

– Nawet nie masz pojęcia... – odpowiedziała, a mnie zaskoczyły te słowa.

Rylee była moją najlepszą przyjaciółką i zawsze, gdy imprezowała, ja jej w tym towarzyszyłam. W trakcie roku szkolnego nie miałyśmy ku temu zbyt wielu okazji, bo jako nauczycielki zajmowałyśmy się młodszymi dziećmi, więc pojawienie się w pracy na kacu nie byłoby mile widziane – ani przez nas, ani przez dyrektora szkoły. Nie drażyłam jednak tematu, bo czas nas gonił, a Rylee nie wyglądała na zainteresowaną rozwinięciem swojej wypowiedzi.

Kiedy dojechałyśmy na miejsce, przestałam myśleć o dziwnym zachowaniu przyjaciółki, bo przywitały mnie radosne rozmowy dzieci. Niektóre z nich uczyłam w ubiegłym roku szkolnym, dzięki czemu lepiej się znały, z pozostałymi... jak to w małym miasteczku – coś o nich wiedziałam. Na obozie prowadziłam zajęcia z muzyki, w ramach grup zorganizowanych, oraz pilnowałam naszych podopiecznych, gdy nastawał tak zwany czas wolny – mogli wtedy korzystać z pięknej pogody przy jeziorze, chodzić po wyznaczonym terenie leśnym, spacerować po dolince, bawić się z kolegami czy grać w piłkę.

Nim się obejrzałam, nastała pora lunchu, więc miałam chwilę, by odetchnąć. Liczyłam również, że uda mi się zamienić kilka słów z Rylee, ale przyjaciółka musiała się zająć dziewczynką, która wbiegła w drzewo – uroki pracy z ruchliwymi maluchami.

– Pogadamy po robocie – wyszeptała i poprowadziła małą do budynku głównego, gdzie mieliśmy dobrze wyposażoną apteczkę. Wiedziałam też, że zaraz po opatrzeniu dziecka zadzwoni do jej rodziców.

Na szczęście reszta popołudnia minęła bez większych problemów. Dzieci zachowywały się dobrze, oczywiście rozegrało się kilka małych dramatów, jak to w tym wieku

bywa, ale zdecydowanie mogłam zaliczyć ten dzień do udanych. Punkt szesnasta pożegnałam się z pozostałymi opiekunami i złapałam Rylee pod ramię.

– Powiesz mi, co cię dziś ugryzło? – zapytałam, gdy ciągnęłam ją w stronę parkingu.

– Kiedy nie wiem, jak ci to powiedzieć... – zaczęła, ale nim zdążyła dokończyć, domyśliłam się, o co jej chodziło.

A raczej zobaczyłam na własne oczy, dlaczego zasnęła i zdawała się nieswoja. Obok mojego samochodu stał inny, który nie należał do żadnego z pracowników obozu. Na domiar złego właściciel wozu tkwił oparty o maskę i wpatrywał się w nas z lekkim uśmiechem na pełnych ustach.

– Hej, Emma – odezwał się, a ja zatrzymałam się w pół kroku.

Serce zaczęło mi bić tak szybko, że aż dotknęłam wisiora, który znajdował się na wysokości piersi. Wszystko byle opanować odruch podbiegnięcia do niego, rzucenia się mu na szyję i pocałowania... Odniosłam wrażenie, jakbym cofnęła się do czasu, gdy przyjeżdżał po mnie i Rylee, by odebrać nas po treningu. Stał wtedy dokładnie tak jak teraz, oparty o swój samochód i czekał, aż tylko pojawię się w zasięgu wzroku, a ja wtedy biegłam w jego ramiona, w których czułam się jak najszczęśliwsza dziewczyna na

świecie. Jednak minęło już tyle czasu, że ani nie miałam prawa tego zrobić, ani nawet nie powinnam o tym myśleć.

– Ryan... – wyszeptałam, ale Rylee trąciła mnie lekko ramieniem, więc się otrząsnęłam i dodałam: – Dobrze cię widzieć.

Niby nie kłamałam – miło było go zobaczyć, jednak gdyby to zależało ode mnie, nie stałby tu teraz, prezentując się tak przystojnie.

– Ciebie też, pięknie wyglądasz – odparł, a ja poczułam, jak moje policzki zaczynają palić.

Na szczęście Rylee postanowiła się odezwać i wybawiła mnie z opresji wymyślania kolejnej kwestii, za co byłam jej wdzięczna. Ale i tak będzie musiała się wytłumaczyć, dlaczego nie ostrzegła mnie wcześniej, że jej brat wrócił do miasteczka.

– Ciebie też dobrze widzieć, braciszku. Tak, ja też tu jestem – rzuciła sarkastycznie. – Pytanie, co ty tu robisz.

Bardzo chętnie usłyszałabym jego odpowiedź, bo nie dość, że nie wiedziałam, że Ryan przyjechał do Silverbrooke Harbor, to także nie miałam pojęcia, po co pojawił się tutaj – na parkingu wakacyjnego obozu dla dzieciaków.

– Przyjechałem po siostrę. – Wzruszył ramionami. – Liczyłem, że pokażesz mi, co nowego zostało tu zrobione, żebym mógł zdać chłopakom relację.

Sapnęłam zaskoczona, bo właśnie dotarło do mnie, że jednym z tych anonimowych darczyńców musiał być Ryan Foster. A bazując na tym, co powiedział, jego koledzy także dorzucili od siebie parę centów. Mogłam się wcześniej na to wpaść, ale wołałam nie myśleć o Ryaniu...

– Wiesz, że to nie zależy ode mnie, czy cię tu wpuszczają. Pogadaj z Patrickiem – odpowiedziała Rylee, wspominając jednego z członków rady miasta, który od piętnastu lat prowadził ten obóz dla dzieci.

– W takim razie będę musiał się z nim umówić. Skoro już tu jestem, chciałbym zobaczyć, jak wiele się zmieniło. – Ryan mówił do siostry, ale wpatrywał się we mnie.

Poczułam się nieswojo, szybko więc pożegnałam się z przyjaciółką, rzuciłam krótkie, neutralne „cześć” do Ryana i wsiadłam do samochodu. Dopiero gdy dojechałam do swojego domu, poczułam, że mogę oddychać... Oparłam głowę o zagłówek fotela i wzięłam kilka uspokajających oddechów. Minęło kilka lat, od kiedy widziałam Ryana, a tak blisko niego ostatni raz byłam, gdy się żegnaliśmy... Gdy podjęliśmy decyzję, że

lepiej będzie zakończyć związek, skoro oboje mieliśmy inne plany – jego marzeniem był hokej, ja nie mogłam wyjechać z Silverbrooke Harbor. I choć rozstaliśmy się bez dram, to i tak jego odejście złamało mi serce – Ryan Foster był moim przyjacielem, moją pierwszą miłością, moim pierwszym... wszystkim.

Niemal podskoczyłam, kiedy poczułam, jak coś wilgotnego spada mi na dekolci – nawet nie zauważyłam, że płaczę. Otarłam łzy, wzięłam jeszcze jeden głęboki oddech i wysiadłam z samochodu. Miałam nadzieję, że Ryan szybko wyjedzie do Bostonu i nie będę musiała się martwić, że znów się na niego natknę. Nie wracał do domu zbyt często, więc liczyłam, że i tym razem tak będzie. Choć było to okrutne, bo wiedziałam, że zarówno Rylee, jak i jej rodzice tęsknili za nim i z pewnością cieszyli się z jego obecności. Ja jednak wołałam, by trzymał się z daleka od Silverbrooke Harbor, gdy przebywał w Bostonie mogłam przynajmniej udawać, że moje serce nie bije szybciej na samą myśl o Rynie...

Robiłam, co mogłam, by się czymś zająć – ogarnęłam salon, przygotowałam szybką kolację i nawet wstawiłam pranie, byleby nie fantazjować o przystojnym, wysokim blondynie, który swoim uśmiechem sprawiał, że moje

serce na jedną chwilę gubiło rytm. Po raz pierwszy, od-
kąd wprowadziłam się do tego domu, kiedy tylko udało
mi się dostać kredyt po rozpoczęciu pracy w szkole,
wyciągnęłam pudełko ze zdjęciami i drobiazgami, które
były zbiorem cudownych wspomnień mojego związku z
Ryanem. Z uśmiechem na ustach i ze łzami wzruszenia
w oczach przeglądałam każdą rzecz; gdy dotarłam do os-
tatniej, umieściłam wszystko na powrót w pudełku, a je-
znowu ukryłam na dnie szafy. Postanowiłam, że wytrzy-
mam te kilka dni i w końcu ruszę do przodu, że w końcu
odważę się znaleźć kogoś, kto będzie chciał spędzić ze mną
życie.



EWELINA NAWARA

od kilkunastu lat mieszka w Anglii, ale pochodzi z pięknego Krakowa. Żona, mama dwóch córek i mól książkowy. Na swoim koncie ma powieści solowe, opowiadania oraz książki napisane we współpracy z innymi autorkami. Zadebiutowała w 2020 roku powieścią „Melodia serc” i dzięki niej zakochała się w pisaniu. Jak sama mówi, tworzy książki pełne miłości, takie, które sama chciałaby przeczytać. „Where we belong” to jej pierwszy, ale nie ostatni, romans z motywem sportowym.

FACEBOOK.COM/NAWARA.EWELINA.AUTOR
INSTAGRAM.COM/EWELINA.NAWARA/
TIKTOK.COM/@EWELINA.NAWARA.AUTHOR

MOTYWY MUZYCZNE

WZRUSZAJĄCY ROMANS



WILLOW CREEK

MAŁOMIASTECZKOWE
ROMANSE

WZRUSZAJĄCE



KINGS OF SIN

NEW ADULT

FOUND FAMILY



NIEGRZECZNE BAJKI

WSPÓŁCZESNE
RETELLINGI

NOWELKI



ANTOLOGIE



[Kup książkę](#)